Katarzyna Wenta-Mielcarek

Błękitne wstążki dróg



WERSJA DEMONSTRACYJNA

Katarzyna
Wenta-Mielcarek

Błękitne wstążki dróg



PSYCHOSKOK

Katarzyna Wenta-Mielcarek
„Błękitne wstążki dróg"

Copyright © by **Katarzyna Wenta-Mielcarek**, 2019
Copyright © by **Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.**, 2019

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana, powielana i udostępniana w jakiejkolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

Redaktor prowadząca: **Wioletta Tomaszewska**
Korekta: **Jadwiga Osóbka-Olczyk**
Projekt okładki: **Jakub Kleczkowski**
Zdjęcie na okładce: © **Arlo Magicman – stock.adobe.com**
Skład: **Jacek Antoniewski**

ISBN: 978-83-8119-279-8

Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.
ul. Spółdzielców 3/325, 62-510 Konin
tel. 63 242 02 02
http://psychoskok.pl
e-mail: wydawnictwo@psychoskok.pl

Milenie i Wiktorowi

Część pierwsza

PRZEWARTOŚCIOWANIE

Leżę na huśtawce w ogrodzie, a z wnętrza naszego wymarzonego domku jednorodzinnego w strasburskiej dzielnicy Meinau dochodzą mnie pokrzykiwania i radosne głosy dzieci bawiących się w marynarzy. Wokół mnie porozsypywane miękkie białe i różowe płatki, aksamitne w dotyku, poprzetykane szeleszczącymi na brązowo ubarwionymi płatkami – ich starszymi kolegami.

Jak biała toń, myślę sobie. Jestem na łodzi, wpłynęłam na śnieżnego przestwór oceanu, faluję na łajbie – ławce, wśród bałwanów płatków… Jak żeglarz, który odzyska spokój duszy, opuściwszy ląd.

Bujam się w łódce-huśtawce-kanapie z podwiniętymi nogami, dając się muskać nieśmiałemu słońcu; lekkie kołysanie powoduje upojenie, szumi mi w głowie, wariujący błędnik wysyła SOS… Czy może jest to woń budzącej się do życia po długiej zimie oddalonej zaledwie o kilka kroków zazielenionej, choć jeszcze nieśmiało, lawendy?

A może upojne trele ptaków, dochodzące od wschodu? Zaczarowane trele, usypiające świadomość, budzące zmysły… Jesteś niepoprawną romantyczką, Joanno! Dlaczego tak wielu ludzi – inspirujących, kochających piękno – umarło dawno temu w biedzie i niezrozumieniu?

Nie wiem, ile spałam. Obudził mnie szalejący w ogrodzie wiatr, który zrzucił chyba donicę z lawendą; mniejsza o to – coś każe mi się zerwać z miejsca. Płatki wirują mi przed oczami, oszalałe wzburzone bałwany. Nie słyszę głosu dzieci

– dociera do mojej świadomości… Zrywam się z miejsca jak uciekający koń i biegiem, na oślep, pędzę do domu. Porzucona huśtawka jak opuszczony grot łopocze na wietrze szarpana jego podrywami.

– Zosia, Radek?! – krzyczę, wbiegając po stromych, nieodnowionych schodkach prowadzących z ogrodu na podwyższony parter domu. Przepełniona strachem nie słyszę ich, zaspałam, nie zachowałam się jak powinnam; prawdziwa matka nie straciłaby czujności, nie zasnęłaby tak banalnie, śniąc o poetach i łodziach huśtawkach, zwłaszcza wiedząc, że czasy są dziwne i że jakieś niebezpieczeństwo czai się w powietrzu jak dziki zwierz na słabe ogniwo w ekosystemie.

Wbiegając po schodach na piętro, tam gdzie powinnam za chwilę zobaczyć ich roześmianych, rozbawionych, beztroskich, czuję, jak organizm mój ogarnia fala gorąca, a w piersiach pojawia się złowrogie pokłuwanie.

Moje maluszki, moja córka… Nie wiem czemu, ale czuję – a kobiety przecież czują podskórnie, nieprawdaż? – czuję, że to ona jest najbardziej narażona na niebezpieczeństwo – boję się o jej przyszłość i o istnienie naszego kobiecego gatunku! Tak, mam ku temu powody – wystarczy popatrzeć na statystyki! Tajemnicze znikanie noworodków mniej więcej dziesięć lat temu, znacznie mniejsza liczba narodzin dziewczynek w stosunku do niższej liczby chłopców (od dekady już rodziło się ich około 30 procent mniej)… Dlaczego? Ktoś na nie czyha, ktoś prowadzi taką politykę, dla kogoś to jest na rękę? Tylko dla kogo i w jakim celu?

Ta chwila, kiedy jak wryta stoję w drzwiach do pokoju Zosi, a w moim zesztywniałym ciele poruszają się tylko oczy wodzące po łóżku z wetkniętą w nie miotłą, na której powiewa dumnie moje śmietanowo-buraczane pareo z wakacji – dziecięca wyobraźnia stworzyła tu fantastyczny statek korsarzy – ta chwila, kiedy wzrok mój przebiega płochliwie po otwartym

oknie, trzaskającym za każdym poruszeniem wiatru, po falach morskich na sosnowych deskach pokoju, które tworzą pofałdowane błękitne aksamity zasłon przywiezionych z mojego kraju, mojej ukochanej utraconej… nie, nie, raczej zatraconej Polski, od kiedy, ech… Ta chwila jest jak wieczność.

Nie wiem, ile wstrzymywałam oddech sparaliżowana strachem, ale nagle zaczęłam się dusić – dostałam ataku kaszlu.

– Mamy cię, mamy cię! Hurra, youppi! – Zosia w przekrzywionej białej opasce na głowie, z rozczochraną fryzurą podbiegła do mnie zza drzwi wejściowych. Na twarzy miała namalowane wąsy oraz zamalowane na czarno lewe oko. Radek niczym zjawiskowy krasnoludek wyłonił się spod łóżka i w podskokach, w swoich za dużych, czerwonych pumpach i z plastikową szabelką u pasa, podbiegł i przytulił się do mnie z całą siłą swojego ośmioletniego ciałka.

– Jesteśmy piratami! Musisz nam oddać wszystkie skarby, albo zgnijesz! – rzucili się na mnie, by mnie zniewolić jak Liliputy z „Podróży Guliwera"; chcieli przykuć mamę – olbrzyma – do podłogi.

Osunęłam się na ziemię, zanosząc się kaszlem. Poddałam się zabawie.

„Nie mogę im pokazać mojego strachu" – myślałam. „Nie wolno mi na dzieci przenosić moich niepokojów czy humorów nieszczęśliwej pani od komunikacji w dużej firmie".

Kaszel powoli przeszedł, na twarz przywróciłam uśmiech – tak, dla nich zawsze miałam to w zanadrzu! Choćby Wielorybice pożerały mnie żywcem, to w domu śmiałam się: pstryk! – i wyłączałam w mózgu program odpowiedzialny za działkę „praca"! To nie był spięty uśmiech, którego używałam w pracy tak często jak przycisku enter na klawiaturze, tylko najpiękniejsza wersja uśmiechu, z głębi serca płynące odprężenie – na przekór strachowi matki o los dzieci!

– Nie śmiej się! – mówi poważnym głosikiem Zosia, robiąc przy tym minę nie tyle rasowego pirata, co groźnej nauczycielki ze szkoły podstawowej.

– Nie wolno ci się śmiać! – zawtórował Radek.

– Dlaczego? No wiecie! Czy moje maluchy zaczynają bać się wyrażania emocji?!

– Bo jesteś więźniarką!

– A może raczej zakładnikiem? – upewniam się, wstrzymując chichot.

– Jesteśmy w Nibylandii i musieliśmy cię schwytać, bo nie pasujesz tutaj. Jesteś za duża!

– A wy to nie? Wąsy sumiaste? Aniołeczki blondyneczki! Z czarnymi charakterami ukrytymi pod ślicznymi powieczkami! A wy to kim niby jesteście? Zaraz wam pokażę! Nie będę leżeć potulnie jak baranek! Zmiotę was stąd na inną wyspę! Hej, ho!

Turlamy się po niebieskich zasłonach falach, gilgocząc do utraty tchu. Zamiast fajki pokoju – gumki żelki, słodko-kwaśne, pycha kwasiory. Dostały mi się żółte… „Bo wiesz, Muna, te nie są takie ostre, to dobre dla ciebie… My wolimy takie bardziej, no bardziej… No wiesz"…

*

Dusiłam się w mojej pracy – miałam poczucie, że stoję w miejscu. Po dwóch latach pracy w środowisku biurowo-urzędniczym miałam wrażenie, że wpadłam w głęboką studnię, co prawda z dnem, ale bez możliwości wydostania się z niej o własnych siłach. To było nowe uczucie i sama się mu dziwiłam – przecież tyle walczyłam o tę pracę, zapierałam się pazurami, by ją uzyskać – w wieku 34 lat przekwalifikowałam się z nauczycielki na śmieciowych umowach i teraz miały być tłuste lata…

Zatrudniono mnie w świetnej firmie. Jeszcze egzaminy nie były zdane, a już weszłam w wir obowiązków u nowego pracodawcy. Nie mogło być lepiej. Firma całkowicie sprywatyzowana w połowie lat 40. prosperowała bajecznie, a teraz przeżywała swój złoty wiek!

Gdybym tylko wiedziała, co za rola była dla mnie przewidziana. Po półtora roku rozpadłam się, czułam, że oszaleję…

Zrezygnowałam z roli grzecznej, ładnej pani, która miała uśmiechem tuszować machloje szefa z jego kumplami.

Nie znosiłam lokalu, w którym mieściła się Servissa, prywatna firma zajmująca się organizacją studiów podyplomowych i kształcenia ustawicznego w Strasburgu. Był to stary budynek z lat 80. dwudziestego wieku, który nigdy nie został odnowiony czy zmodernizowany. Nie musiał być – nikt tutaj nie przyjeżdżał oprócz nas, pracowników. Wszystkie kursy odbywały się na terenach firm albo online. Pokój do teletransmisji wyposażony był w wyjątkowo ekskluzywne sprzęty – począwszy od podłogi, po meble i design – i każdy, kto się z nami w wirtualu spotykał, zakładał, że cały kompleks tak właśnie wyglądał. Nic bardziej mylnego. Brzydziłam się. Pamiętam ten dzień, w którym, nie wiedząc nawet dlaczego, nadeszło to uczucie.

Był pochmurny, ciemny poranek, jesienne klimaty – drobny kapuśniaczek, łagodny wiatr, a mimo to niemało spadających, bladożółtych liści. Smutek panował w naturze, której marne strzępy docierały na wybetonowany podłużny parking wzdłuż dwupiętrowego, prostokątnego budynku. Prosta, a jednak dziwaczna architektura, stosunkowo duże okna, przezroczyste drzwi wciśnięte w masywne, wypukłe, betonowe ramy – wszystko to nasuwało na myśl bunkry z czasów drugiej wojny światowej. Dotarłam do pracy jak zwykle pięć, a może nawet dziesięć minut za późno, co było przyczyną lekkiego podenerwowania, bo generalnie wszyscy przychodzili na czas.

Nic nie powiedzą, ale wiem, że patrzą na zeglocki. – Czułam ucisk w brzuchu, jak co dzień od jakiego czasu.

Odmagnetyzowałam drzwi mojego biura, ale nie zdążyłam nawet zdjąć z siebie kurtki ani wślizgnąć się w buty „biurowce" na trzycentymetrowych obcasach, bo do mojego pokoju wparowała najbardziej toksyczna baba, jaką kiedykolwiek poznałam. Wredna i roszczeniowa – Liza. Ze ściśniętymi ustami wycedziła:

– W reklamie internetowej nie uwzględniłaś moich szkoleń!

Cała emanowała żółcią. I masz babo placek. Gorączkowo, pod wpływem stresu, który ona we mnie umiała wywoływać, szukałam w głowie odpowiedzi na ten zagadkowy zarzut. Tak, do zakresu moich obowiązków należało centralizowanie próśb przychodzących od pracowników administracyjnych organizujących szkolenia podyplomowe.

To niesamowite, ta kobieta, która notabene uważała, że zabrałam jej stanowisko pracy, nienawidziła mnie nie tylko za to, że nie byłam Francuzką, ale i za to, że oddychałam w ogóle tym samym brudnym alzackim powietrzem co ona, że robiłam błędy stylistyczne, miałam życie osobiste, wyglądałam jakoś i za to, że w ogóle żyję. Urzędniczka z grzywką, z ciemnoszarymi włosami, ubrana w ciuchy z lat dwudziestych i zaspakajająca głód miłości ciasteczkami, działała na mnie jak płachta na sparaliżowanego byka. Czy to moja wina, że jest nieszczęśliwa i samotna?

Ona posiadała szerokie kompetencje, a mimo wszystko zatrudniono mnie. Skoro była taka kompetentna, to dlaczego ja dostałam tę pracę? Dlaczego ona mnie nienawidziła? Sama zgadzała się z tym, że moja robota jest bardzo stresująca – między innymi z powodu takich niechętnych do współpracy, niedobrych z gruntu, krzykliwych, sfrustrowanych osób jak ona właśnie. Znałam swoją piętę Achillesa – lecz cóż, ktoś do tej roboty mnie wybrał, ktoś się na mnie zdecydował, ktoś we

mnie i moje kompetencje uwierzył! Wiedziałam, bo czułam każdym porem ciała, jak bardzo ona mnie nienawidzi.

Byłyśmy nawet w jakimś stopniu podobne – obie lubiłyśmy PR, koty, taniec. Byłyśmy też w podobnym wieku – wiedziałam o tym z listy, która wisiała w każdym biurze, bo nie można było się domyślić jej wieku. Ubierała się w rzeczy sprzed dziesiątek lat, które już dawno temu przestały być modne. Wyglądała jak worek na kartofle, a gdy się ubierała odświętnie, to ciuchy, które na siebie wkładała, przywodziły mi na myśl szczeciński Manhattan, tani, ale niezwykle popularny wśród szczecinian ryneczek z importowanymi z Turcji fatałaszkami. Z roku na rok stawała się coraz cięższa, bo mimo miłości do tańca nie ruszała się chyba zbyt wiele i praca w biurze nie służyła jej formie. Czy ja też taka będę? Różniło nas to, że ja miałam rodzinę – męża, dzieci, a ona wybrała życie w pojedynkę, z mamą dwa piętra wyżej w tym samym budynku. Może nie była w stanie stworzyć więzi z kimkolwiek, mężczyzną czy kobietą – w zatomizowanym społeczeństwie to nie dziwi. Różniła nas mentalność. Ja tu jednak nie pasowałam, od zawsze to wiedziałam, mimo że próbowałam przekonać samą siebie, że jest inaczej. Cały dzień będę miała zepsuty przez panią Lizę, której mottem życiowym mogłoby być pragnienie, żeby inni czuli się podle, skoro ona tak się czuje. Była tu, stała nade mną jak kat. Zaraz zetnie mi głowę. „Ściąć jej głowę" – jak to mówi Królowa do Alicji w Krainie Czarów. Poczułam spadającą gilotynę.

– Doprawdy? – spytałam, by zyskać na czasie. Fala gorąca zalewała mnie od środka.

– Pewnie zaszła pomyłka. Uspokój się, Joasiu, jesteś śmieszna z tą czerwoną rozżarzoną gulą w ciele, w sercu czy gardle? – galopada myśli w mojej głowie.

– Pomyłka?! Oczywiście, że zaszła pomyłka! – Stała nade mną jak nadęty wieloryb, a ja czułam się przy niej jak mała rybka, którą za chwilę pożre.

– Sprawdzę to i dam ci znać…

Niech sobie pójdzie, to ochłonę.

– Proszę, sprawdzaj, ja mam czas – wieloryb siknął wodą.

Co za wredna małpa!

Wzięła z grzbietu szarego regału stojącego po prawej stronie biura miesięcznik dla kadrowych w formie screenksiążki i udawała, że czyta. Czułam wyraźnie, że to teatr. Włączyć komputer, odczekać. Sprawdzić w pliku, sprawdzić maile od niej. Nie naślę na nią policji, nie wywalę jej z biura… A właściwie dlaczego właściwie nie? Uspokoić oddech, skoncentrować się. Zaraz, zaraz… Widzę wyraźnie jej maila z zeszłego miesiąca z prośbą o włączenie do reklamy internetowej szkoleń: „Wybór i redagowanie kontraktu pracy", „Zarządzanie projektami w środowisku międzynarodowym", „Licencjat doradca bankowy", „Dyplom uniwersytecki psychologia pracy", ale…

– Przepraszam cię, nie dostałam od ciebie innego maila, więc pozwoliłam sobie wziąć te szkolenia, które mi przysłałaś miesiąc wcześniej. Patrzyłam na daty. Mogliśmy je jeszcze opublikować w internecie, to znaczy, w screenmagazynie, gdyż chętni mają jeszcze trochę czasu, żeby się na nie wpisać.

Dlaczego plączą mi się słowa? Dlaczego mam wrażenie, że popełniłam jakieś przestępstwo?

– Ha! – zawołała z satysfakcją w głosie. A kto ci kazał to zrobić? Przecież nie ja!

– Przepraszam cię, Liza.

Dlaczego ja ją przepraszam? Przecież najchętniej wydarłabym się na nią, powiedziała, że się dopieprza; dlaczego w ogóle nie raczyła nic wysłać? To przecież jej wina, a ona jeszcze mnie opieprza.

– Miałaś mi przysłać szkolenia – dodałam jak bezradne dziecko zdane na burę dorosłego.

– No miałam! Ale nie przysłałam!

Przecież ona się tym karmi. Patrzę, jak rośnie, jak staje się coraz większa, wieloryb rozrasta się na moich oczach do wymiarów gigantycznych. Mój wzrok musiał być naprawdę tragiczny, jak spojrzenie maltretowanego kota. Tak, tak, ona się nade mną znęcała! Ale nie byłam w stanie stać się niemiła (bo tak mnie wychowano), ani twarda (bo jestem słabeuszką), ani pewna siebie. Porażka. Walkower. Leżę i kwiczę. Nie leżę, nie kwiczę. Bo jeśli ty się nie będziesz bronić, to nie miej pretensji, że nikt za tobą murem nie stanie. Dlaczego mój własny ojciec określał mnie jedynie w kategoriach „grzecznej i niegrzecznej dziewczynki"? Bo na taką mnie wychowywał!

Nienawidzę siebie samej, za moje reakcje, za moją potulność, barankowatość!

– Ale przecież podałam wam datę limitową – w naszym żargonie deadline, do której prosiłam o te informacje. Próbuję jeszcze coś osiągnąć, ale efekt będzie odwrotny. Czyż kopie się leżącego? Mój głos stanowczo nie miał siły przebicia, zabrzmiał raczej jak nieśmiały koci miauk.

– No to trzeba było zadzwonić, przypomnieć mi. Jestem w ostatnich dniach przeciążona pracą, a ty dajesz takie krótkie terminy – znów pretensja w głosie.

Aha, to moja wina. Bo nie mówię jej dostatecznie wcześnie, co ma robić… Zły *planning*… Dlaczego ona jeździ na mnie jak po łysej kobyle? Co ja jej zrobiłam? Są tacy ludzie, i ona z pewnością do nich należy, którzy znęcają się nad leżącym, kopią pokopanego, maltretują zmaltretowanego. „Nie, nie uwzględniłam, to znaczy uwzględniłam, te z zeszłego miesiąca, nowych mi ich nie przekazałaś! – w myślach krzyczę w jej stronę, robiąc maksymalnie zniesmaczoną minę, zdeformowaną w złości. – Nie dotrzymujesz swoich własnych terminów i jeszcze przychodzisz się wykłócać? Jaki tupet! Postaram się, by dyrekcja czym prędzej dowiedziała się, że nie wywiązujesz się ze swoich obowiązków!".

Jestem energiczna, pewna siebie, reaguję atakiem na atak! Nie daję sobie dmuchać w kaszę. Widzę się, jak wstaję od biurka, systematycznie podnoszę głos o kilka decybeli, kieruję kroki w jej stronę, a ona odsuwa się rakiem, odchodzi, wycofuje się, rzednie jej mina, zaczerwienione policzki drgają nerwowo, galaretowate ramiona wykonują obronny gest. Dlaczego nie jestem do tego zdolna? To wydaje się takie proste i – cholera! – widzę siebie, że umiem taka być. Powinnam taka być, tu, w tej chwili, przy tej babie. To powinna być moja strategia przeżycia. Ale mój mózg nie działa normalnie – instynkt samoobrony zanikł gdzieś. Dlaczego? Co się ze mną dzieje? Dlaczego pozwalam sobie na pomiatanie mną, dlaczego to akceptuję? Bezbronne dziecko boi się dużego dorosłego, nie odpyskuje mu, poczeka, aż dorośnie, a wtedy… Czasem zemsta latami czeka na spełnienie.

– No, tak, mogłam, przykro mi… – odpowiadam, spuszczając wzrok.

Zamiast wstać energicznie od biurka i na nią napierać… postawić się, oburzyć, zrobić aferę… Widzę jak ona rośnie, jak wielką odczuwa satysfakcję – to będzie chyba najpiękniejsza chwila jej dnia, chwila triumfu, moment zdeptania robaka uwieńczony zmiażdżeniem go jednym obrotowym ruchem buta. Ten robak to ja.

– No, ja myślę! – zakończyła usatysfakcjonowana i zadowolona.

Siedzę za biurkiem i łzy mi się cisną do oczu. Nienawidzę siebie samej za tę słabość. Jestem mięczakiem i tak się czuję – jak jakiś galaretowaty, nieokreślony stwór. Jest mi zimno. Właściwie jest mi gorąco. Gorąco, ale zimno. Policzki mnie palą, a ciało się trzęsie, dygocze. Coś tutaj jest nie tak. Ona się na mnie wyżywa, a ja się poddaję… To nie jestem ja… A jednak. Od kiedy tak jest?

Zaczęłam usilnie przypominać sobie, kiedy po raz pierwszy przyszłam do pracy z tak dobrze mi dzisiaj znanym uciskiem

w żołądku… Lecz byłam nazbyt przejęta swoim bólem, by sobie to przypomnieć. Pomyślę o tym po pracy – obiecuję sobie.

Co się dzieje? Od kiedy tak jest? Dwa lata temu było inaczej – wtedy praca sprawiała mi dużą przyjemność, a jej efekty były doceniane… Niemniej jednak strategia komunikacji w Servissie była całkowicie zależna od dyrekcji. Wszystkie moje pomysły wysłuchiwane, wiele z nich o dziwo pozwolono mi zrealizować. Lecz potem się to zmieniło. Szef miał swoją wizję, którą konsekwentnie realizował – od paru miesięcy w ogóle niczego ze mną już nie konsultował. Przestał ze mną pracować. Ignorował mnie, można powiedzieć. To było dziwne.

Z czasem szef zaczął narzucać mi realizowanie swoich projektów, które nie wypalały, bo wypalić nie mogły ze względu na brak rzeczywistego interesu naszej grupy docelowej. Ten moment przyszedł chyba wówczas, gdy zaczęłam krytykować jego decyzje. Teraz byłam w odstawce.

Przypominam sobie jego dzień dobry dzisiejszego poranka – wyczuwam hipokryzję jak inni zapach gofrów przy plażowej promenadzie. Wszystko w nim było: „Jesteś beznadziejna. Jesteś nic tutaj nie warta, nie obchodzisz mnie, zrozum to wreszcie, głupia, i idź sobie". Ale co z tym zrobić? Ogarnęło mnie poczucie klęski. Miałam myśli samobójcze. „Idź sobie, głupia! Ty zdeptany robaku, idź, jeśli jeszcze możesz się gdzieś powlec!".

*

Do mojego biura wparował drugi dyrektor, postawny pan. W zeszłym roku miał zawał serca, na szczęście odgłos zwalającego się bezwładnie ciężkiego ciała dotarł do uszu koleżanki, księgowej zza ściany. Ponieważ odgłos ten nie był rozpoznawalny – nie wiedziała, czy spadła szafa, czy trzasnęło okno

– zerwała się ze swojego czerwonego biurowego fotela (bez oparć – te z oparciem dostawali tylko pracownicy należący do elity zarządzającej, jak na przykład ja, (ha, ha!) dyrektorzy i szefowie misji) i zajrzała przez otwarte drzwi do dyrkowego biura.

Na ciałach widać stan psychiczny człowieka. To lustro odzwierciedlające stan umysłu i – co dziwne – wielu z nas żyje w przekonaniu, że nic nam nie dolega. Ale ciało jako zewnętrzna powłoka naszych myśli odbiera wszystkie bodźce i przetwarza je w nasz zewnętrzny obraz. Po zawale, można było przypuszczać, drugi dyrektor zmieni nieco swój tryb życia, ale widocznie szok nie był na tyle duży, by spowodować ocknięcie i zainicjować zmianę. W przeciwieństwie do mnie. Wcześniej myślałam o nim pozytywnie, starałam się widzieć w nim szlachetnego, kreatywnego człowieka, a teraz coraz bardziej niechętnie spoglądałam na większość ludzi w pracy, widząc jak bardzo są poddani presji wyniku, jak mało w nich samodzielnego myślenia i samokrytycyzmu, jak bardzo są lojalni i jak bardzo ja sama byłam lojalna wobec systemu.

W chwili gdy zaczynasz myśleć samodzielnie, współpraca nie jest już możliwa. Które zdanie wypowiedziane w trosce o dobro firmy mnie spaliło? Potargało i skazało na stos, jak indyjską wdowę na *sati*? Nie wiedziałam.

Drugi dyrektor (a mówiłam na niego Bóbr) wparowuje ze zdecydowaną miną – nastroszony jak koguciuk, gotowy do walki. Widać po nim, że przestawił wewnętrze dźwignie – jest teraz autorytatywnym szefuńciem napinającym mięśnie.

Najlepiej sprzedają się produkty polecone przez innych, to wiadomo. Nie wszystkie polecenia jednak pisane są przez tych, którzy produkt zakupili. Tak samo jest z naszymi szkoleniami. Jednym z moich zadań było opisywanie wrażeń ze szkolenia na forum internetowym udając że sama je absolwowałam.

Byłam w trakcie redagowania tekstu: z czystym sumieniem polecam wam szkolenie z zakresu psychologii pracy prowadzone przez profesora Malliu. Skupiona na czatowaniu, na bardzo popularnym portalu społecznościowym poświęconym tematyce dokształcania zawodowego, nie dostrzegłam go od razu, ale od razu poczułam zakłócenie energetyczne. Oderwałam wzrok od ogłupiającej mnie dzień w dzień klawiatury, internetowy świat, obecny w moim życiu minimum osiem godzin dziennie sprawiał, że miałam wrażenie, że nie żyję naprawdę, że jestem jakimś algorytmem, zmieniającym się pod wpływem wciąż na nowo dostarczanych informacji.

– Jak będziesz miała chwilę czasu, wpadnij do mnie do biura – powiedział takim tonem, że zrozumiałam, że mam pójść natychmiast. Cały jego problem polegał według mnie na tym, że był niespełnionym sadystą. Hamował się jak umiał, ale było to przeciwne jego naturze. Nie mogąc stosować przemocy fizycznej, stosował przemoc psychiczną. Terroryzował nas – zwłaszcza tembrem głosu, zmianami nastroju, tak nagłymi, że uśmiech zastygał ci na twarzy jak schłodzone fondue czekoladowe polane na truskawkę.

Spojrzałam na niego, po czym podniosłam się z miejsca. Cofnął się o krok.

– Może nie ma na co czekać. Wydaje się, że ci się spieszy – zagaiłam z lekkim uśmiechem.

Miałam wrażenie, że zmalał, skurczył się. Szłam za nim po schodach prowadzących na drugie piętro, wodząc wzrokiem po pasach pomalowanych na kolory zmieniające się metr po metrze. Czego on może chcieć? Nie uświadamiałam sobie jeszcze, że on zauważył coś, co nie jest w firmie pożądane – że wymykam się spod kontroli i zaczynam samodzielnie myśleć. Całkowita władza była w rękach dyra – Kałachowa – i to on najprawdopodobniej nasłał Bobra na mnie. O co może im chodzić? Stałam się niewygodna, bo mówię głośno o tym, że 100

tysięcy euro dane przez Kałachowa swoim kolesiom z branży medialnej za reklamę, która nie przynosi żadnego, ale to żadnego klienta, można by wydać sensowniej? Tymczasem moje propozycje – ekspertki, która zna swój fach – są wywalane do śmieci. To może być to. *Eine Hand wäscht die andere, was dachtest du kleines Mädchen?*[1]

Ostatnio Kałachow przestał ze mną rozmawiać o sprawach zawodowych – zatrudnił nową babkę. Zaraz, kiedy to było? Jakieś trzy miesiące temu… Najpierw miała się zajmować przetargami, a teraz coraz więcej czasu z nią spędza. Dziwna dziewczyna o fizjonomii wiewiórki, niska, ale na wysokich obcasach, notorycznie rozśmieszająca grupę szefów projektów żarcikami o seksie. Obsesyjna. Może szykuje się coś między nią a Kałachowem, o 20 lat starszym rozwodnikiem starej daty? Ile on miał babeczek, od kiedy z nim współpracuję? Marsz po schodach łączy się z dochodzeniem do wniosków, że za dużo widzę, za dużo wiem, staję się niewygodna, chcę wpłynąć na Kałachowa, a to nie podoba się jego klakierom – nie po to mnie zatrudnili, by robić firmie rzetelny PR, komunikować rzetelnie – wszystkie jego projekty z komunikacji to kumoterstwo na zasadzie: ja dam ci zarobić, a w zamian grzeję sobie kolejną posadkę – nie zostanę tu za długo, wreszcie trzeba na jakieś wyższe szczeble, więcej polotu, prawdziwe biznesy! A ty, głupia Joaśko, masz być Zastojoną, Neurotyczką, masz robić to, czego od ciebie oczekują. Podpisałaś lojalkę, więc już wiesz… Jaka ty głupia jesteś i naiwna! Moje ciało doszło w tym czasie do biura Bobra.

Siedzimy naprzeciwko siebie. On, schowany za swoim biurem, przybrał wyluzowaną pozę. Z trudem udało mu się

1 Niem. *Ręka rękę myje. A co myślałaś, mała dziewczynko?*

umieścić nogę na nodze. Próba przybrania pozy nonszalanckiego szefa. Bez ogródek zaczyna.

– Widzę w ostatnim czasie, że Marcel robi sobie żarty na twój temat.

Pewnie mu chodzi o to, że Kałachow widzi mnie przez pryzmat mojej narodowości. Żarty na temat pijaństwa mojego narodu, na temat kobiet ze Wschodu, które, ha, ha, w jego mniemaniu łatwe są, na temat polityki, że pochodzę z Ciemnogrodu – państwa które nie należy do najbogatszych ani najmądrzejszych, skoro rządzą nim fanatycy. Moja rodzina akurat ma inne podejście do tych kwestii niż większość Polaków. Jestem za pełnią praw dla kobiet, poczynając od prawa do aborcji, jako elementarnego prawa człowieka do podejmowania decyzji dotyczących własnej rozrodczości. Uciekłam stamtąd właśnie ze względów światopoglądowych. W moim kraju jestem na czarnej liście, a powrót to kara więzienia za dokonanie aborcji, której nie żałuję. Wierzę, że nastąpi czas wyzwolenia spod dogmatów infantylnych rządów pod wpływami Kościoła oraz powrotu świadomości. To też naiwne?

– On chyba tego nie mówi na serio – próbuję zneutralizować nieco zarzuty, bo mam przeczucie, że Bóbr mnie testuje, testuje moją lojalność.

– Chciałem, ci tylko powiedzieć, że jeśli kiedykolwiek będziesz miała wrażenie, że posuwa się za daleko, to możesz się do mnie zwrócić.

– Dobrze, dziękuję – mówię to, ale raczej bezwiednie. Gorączkowo próbuję się zorientować, o co tutaj chodzi. Jego mina, postawa, jaką przyjął, wchodząc do mnie do biura, świadczyła o tym, że nie będzie to miła rozmowa, nie pogłaskiwanie, tylko raczej bicze.

– Z drugiej strony… – zaczyna i zmienia minę. Jest w tym zaskakująco dobry. Wraca ta sprzed pięciu minut – zachmurzona, groźna niczym janusowe, przewrotne oblicze. Boję się go

teraz. Czuję, jak zalewa mnie fala gorąca, jak serce coraz szybciej tłucze się w piersi, widzę przez chwilę czarne, wirujące przed oczyma kółeczka, spuszczam wzrok, by zniknęły. Postanawiam być jak skała – niech nie widzi, jak władają mną emocje, niech nie wie, że czuję się jak źdźbło trawki targane wichrem.

Teraz się zacznie – była marchewka, a teraz pora na kij. Niech go diabli! Skończony mały urzędas. Wykonawca, egzekutor!

– Zauważyliśmy, że mniej się starasz, że robisz błędy ortograficzne, a twój profesjonalizm pozostawia wiele do życzenia.

Ach tak! Już wcześniej, stosując takie same techniki, jakie od jakiegoś czasu stosują na mnie, wywalili z pracy Corinne – moją prawą rękę. To czysty mobbing – nazwijmy rzecz po imieniu. Corinne była jedyną osobą, która zgadzała się czytać napisane przeze mnie, francuskie teksty i mi je poprawiała. Tyle razy publicznie jej dziękowałam – wiedzieli to. Ale mieli to w dupie.

– Nikt nie może poprawiać twoich testów. To nieproduktywne. Musimy szybciej pracować. Inaczej firma nie wytrzyma konkurencji. Czas to pieniądz.

Biorę głębszy oddech, dlaczego to takie trudne?... Bo ja wiem i on wie, że to koniec.

– Przypominam ci, że wiedziałeś od początku o tym, że jestem Polką, a mimo to zatrudniliście mnie.

– Myśleliśmy, że po dwóch latach będziesz samodzielna. Nie udało się – powiedział z lodowatą miną. Ale jego policzki poczerwieniały. Może poczuł, że zachowuje się łajdacko?

– Więc to chcesz mi przez to powiedzieć? – zapytałam. – Wywalasz mnie?

Nie, tego nie wypowiedziałam, nie mogłam. Och żeż, słabości moja!

Uśmiechnął się sztucznie. Brr, aż ciarki mnie przeszły.

– Będę rozmawiał niedługo na twój temat z Marcelem.

Szef każe sobie mówić po imieniu, ale potem używać trzeciej osoby liczby pojedynczej. Co w praktyce daje taką formę:

„Marcelu, czy mógłby mi pan dać termin, gdyż chcę omówić projekt x?".

– Pomyślimy, co można by zmienić, byś była dla nas bardziej wydajna… – pocieszył mnie Bóbr.

Jeśli to nie jest wywalanie mnie na zbity pysk, to ja nie znam świata – pomyślałam. Miałam go dosyć. Patrząc na szefa, na jego miny i gesty, na psychiczne torturowanie mojej osoby, całą tą inscenizację, zrozumiałam, że nie jestem tutaj na swoim miejscu. Tylko jakie jest moje miejsce?

– No, widzę, że się zgadzasz z moją analizą, skoro nic nie mówisz – skwitował po chwili. – Poza tym zauważyłem, ze poruszasz się w sposób bardzo wyniosły.

– Słucham? Że co?! – Nie mogłam uwierzyć, że można komuś zarzucić sposób chodzenia. Chodzę tak samo od lat… A może nie? Może chodziłam ze spuszczoną głową i tylko od paru tygodni podnoszę ją stanowczo i niezłomnie… Może coś w tym jest i zauważyli to? I to jest właściwy powód, dla którego chcą się mnie pozbyć?

Dziewczyna czuje się za dobrze w swojej skórze. Musimy ją wychłostać psychicznie, a jak to nie odniesie rezultatów, to pozbędziemy się jej! – Już słyszę taka rozmowę między Kałachowem, Bobrem i Mamusią Chomiczka, czyli drugą zastępczynią dyra.

Wiedzą, że się wyemancypowałam, że nie chcę już grać roli neurotyczki. Zrozumieli, że nią nie jestem, a tylko „przefarbowałam" się na potrzeby ich firmy.

– No, twój sposób poruszania się. To się nie podoba – precyzuje Bóbr.

Mam go przepraszać, powiedzieć, że już nie będę? Kompletna bzdura.

– Wydaje mi się, że chodzę normalnie.

Proszę, oto osiągnęliśmy najwyższy stopień absurdu. Dyskusja na temat postawy. Już wiem, co o nich myśleć. Jestem

na cenzurowanym i nie mam czego tu szukać. Nie chcę tu już być. To nie jest moje miejsce. Dlaczego byłam tak ślepa, że tego nie widziałam?!

Kałachow, Bóbr, dyrka od chomika – ośmiornica o trzech głowach z dwudziestoma czterema ramionami sięgającymi w każdy zakątek tej wylęgarni Zastojonych. Jesteś inna, inaczej chodzisz, inaczej myślisz, możesz nam zaszkodzić. Czym prędzej musimy cię wyeliminować. Nie musicie mnie eliminować. Coraz więcej widzę, coraz silniejsza się staję, zerwę zaciskające się na moim ciele wasze macki.

– Proszę, zrób sprawozdanie wyników pracy w ostatnim semestrze i z pewnością spotkamy się następnym razem z Marcelem i Claudiną – zakończył Bóbr i z trudem zdjął nogę z nogi oraz zdecydowanym ruchem zamknął błękitną teczkę A4. W niej pewnie znajduje się cały mój profil. Czemu czuję się jak więzień? Zgarnął zamaszystym ruchem kropelki potu z czoła. Niestety, nie uda mu się zebrać tych, które na koszuli zaznaczyły się już ciemnymi plamami, wielkimi jak kola ratunkowe.

Nie udało mi się pozostać skałą. Wciąż czuję się jak źdźbło trawki targane wiatrem i widzę, że on to widzi. Łzy, te głupie łzy – dlaczego nie ma na nie żadnego lekarstwa? – cisną mi się do oczu… To siły natury zbyt gwałtowne, by nie wydobyły się na zewnątrz…

– Widzę, że masz problemy osobiste – cicho skwitował Bóbr.

A to co? Czy on kompletnie postradał zmysły?

– Przepraszam, ale co pozwala ci wysnuwać takie wnioski? – zripostowałam wściekła. Wara od mojej rodziny, tego już za dużo. Pozwala sobie gość, który jest Zastojonym. On mi będzie mówił, że ja mam problemy osobiste?

– Tak sobie tylko pomyślałem, sądząc po twojej reakcji. Jeśli się mylę, to przepraszam.

Na pewno ma tak wypisane czarno na białym moje „przestępstwa": nie jest Francuzką; zbyt wysoko podnosi głowę; ma własne zdanie; staje się niezależna. A cała reszta? To, że pracuję jak dziki osioł, że na moje miejsce wejdą teraz trzy osoby – to już nic nie znaczy, nikogo to nie obchodzi. Wycisnęli mnie jak cytrynę przez ostatnie lata. Dałam się wycisnąć, do ostatniej kropelki? Byłam Zastojona? Byłam Zastojona.

– OK, nie ma sprawy – podnoszę się z miejsca, w głowie myśli gnają zbyt prędko, podnosząc się, czuję zawrót głowy.

– Mogę już pójść? – pytam głosem beznamiętnym, jak urzędnik udzielający informacji w okienku po raz setny tego samego dnia.

– Tak, proszę. To by było na tyle – chrząka i jeszcze wciąż gra swoją rolę, odwracając się z impetem na obrotowym fotelu z łokietnikami – symbolem kadry kierowniczej. W pokoju 3 na 4 metry z dwoma oknami to jego insygnium władzy. Takie są współczesne insygnia władzy. Nie będę się w to bawić, to nie moja gra.

– Do zobaczenia, miłego popołudnia – wypluwam z siebie miłe frazesy, grzeczna dziewczynka, tak mnie wychowano!

– Dziękuję, nawzajem – odpowiada nienagannie, bo tak go nauczono. Tą strategią odniósł sukces, niedoszły chemik na etacie klakiera u Kałachowa.

*

Liza jest w firmie, od kiedy skończyła studia, czyli od osiemnastu lat. Z roku na rok jest pełniejsza, a choć znam ją krótko, wiem dokładnie, jaka była i widzę ewolucję. Widziałam w archiwum jej zdjęcia sprzed lat. Była kiedyś ładna.

– Co ty jesz?! – pyta mnie z wyczuwalnym obrzydzeniem w głosie, gdyż humus nie ma najpiękniejszej konsystencji,

KONIEC WERSJI DEMONSTRACYJNEJ